Nr. 2. Luty 1888. **Rok II.**

OPIEKUN ZWIERZĄT

DOMOWYCH i POŻYTECZNYCH.

ORGAN

KRAKOWSKIEGO STOWARZYSZENIA

OCHRONY ZWIERZĄT.

Wychodzi w Krakowie **co miesiąc.** Wkładka roczna wraz z prenumeratą czyni 1 złr. 50 ct.; dla nauczycieli szkół ludowych i uczniów szkół średnich 1 złr. z przesyłką.

ADMINISTRACYJA i EXPEDYCYJA w Krakowie, ul. Podzamcze, l. 3. p. I., dokąd wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy. Członkowie krakowsk. Stow. ochr. zw. otrzymują czasopismo bezpłatnie.

Motto: „Bóg stworzył człowieka z duszą nieśmiertelną, z czuciem i rozumem, po nim stworzył zwierzęta: czyż one tak daleko od niego stoją? O nie: zwierzę myśli, czuje i pamięta. O tym każdy się przekona, który cicho, cierpliwie a z wytrwałością zasłonę ściąga z tajemniczego życia zwierząt". Kaźmirz hr. Wodzicki.

Odpowiedzialny redaktor: **Bronisław Gustawicz.**

PRZYRODA w PIEŚNI.

Dzieci, chrońcie ptaków!

Słuchajcie, me dziatki lube,
co tu powiem wam;
kto na ptaszka czyha zgubę,
Bóg go skarze sam!

Kto ptaszynę okaleczy,
ma kaleką być;[1])
tego bieda się naćwiczy,
w nędzy musi żyć.

Kto zabije go z pustoty,
w tego trafi grom;
bo rodzice téj niecnoty
zwykle potym mrą.

Zmarni życie bez pociechy,
choćby przebiegł świat;
nie znajdzie nigdzie uciechy,
bo on ptaszków kat.

Więc dziateczki ukochane,
niech was strzeże Bóg,
psuć ptasze gniazdka usłane
wśród zielonych smug.

Ptaszęta na znak wdzięczności
zanucą wam w chór
piosenki pełne radości,
że aż zabrzmi bór.

Żadna brzydka gąsienica
nie oszpeci drzew,
wolna od nich okolica,
każdy kwiat i krzew.

Za to, gdy już lato minie,
tam owoce masz
dla siebie na jedzenie
i bliźniemu dasz.

To, braciszku, jest nagroda,
żeś szlachetny był,
Bóg do pracy sił ci doda,
będziesz szczęśliw żył.

M. Rybowski.

[1]) Lud w Jasielskim wierzy, że Bóg karze za okaleczenie ptaszka śpiewającego kalectwem, a za zabicie sieroctwem.

OPOWIADANIA

O ZWIERZĘTACH POŻYTECZNYCH.

Ciąg dalszy.

I. Zwierzęta ssące.

---

1. Niedoperze czyli gacki.

Wiele szkodliwych owadów, mianowicie ciem i chrząszczów lata tylko o zmroku i w nocy. Nie złowi ich wtedy żaden ptak, żywiący się owadami, prócz jednego **kozodoja**, bo ptaki wtedy już śpią, a człowiek wcaleby im nic nie zrobił. Gdyby te owady rozmnażały się swobodnie i bez przeszkody, gdyby Pan Bóg nie był stworzył żadnego zwierzęcia, któreby je wyławiało, wyrządzałyby one człowiekowi nie małe szkody w ogrodach, sadach, polach i lasach. Aby więc te owady nie rozmnażały się zbytecznie i ze szkodą roślin pożytecznych i potrzebnych dla nas i dla zwierząt domowych, stworzył Pan Bóg **niedoperze** czyli **gacki** i tak je urządził, że latają o zmroku i w nocy i jedynie owadami się żywią. Na tym właśnie polega nieoceniona pożyteczność tych zwierzątek.

Niedoperze nie są ptakami, lecz zwierzętami ssącymi, to jest rodzą żywe młode i karmią je mlekiem. Żeby mogły latać, między bardzo długimi palcami drugim, trzecim, czwartym i piątym przednich nóżek, które też są daleko dłuższe od tylnych, potym między nogami przednimi a tylnymi, wreszcie między tymi a ogonkiem rozpięta jest cienka, naga i miękka błona.

Ta błona służy gackom naprzód do latania. Jest ona też nadzwyczaj czuła, taksamo jak np. błona w uchu naszym, której lekkie nawet dotknięcie sprawia nam boleść. Ta więc czułość błony lotnej u niedoperzów ułatwia im latanie w nocy w ten

sposób, że czują bliskość każdéj rzeczy, nawet nitki czarnéj, choć jéj dla ciemności nocy nie widzą. Dlatego nie uderzy się gacek nigdy o nic.

Oczka mają niedoperze malutkie; ale za to mają one bardzo wielkie uszy. U wielu niedoperzów są te uszy dłuższe, niż głowa, a u jednego z nich są one nawet tak długie i szerokie jak cały tułów jego. Uszy te tworzy bardzo cienka i mięciuchna błona. Zapomocą takich uszów gacki, nie mogąc w nocy dobrze widzieć, tym lepiéj słyszą, daleko lepiéj niż wszystkie inne zwierzęta, a nawet lepiéj niż człowiek. Słyszą one doskonale najcichszy brzęk latających owadów i tym tylko sposobem lecąc cichutko za nimi łapią je, choćby ich nie widziały. Ktoby umiał naśladować brzęk muchy, może stojąc cicho i brzęcząc, bliziutko do siebie zwabić latającego gacka.

Przekonano się także, że gacki nie pojawiają się z wieczora o jednym czasie, lecz jedne wcześniéj, drugie późniéj, gdy się już dobrze ściemni. Wszakże im poźniéj w noc, tym téż ciemniéj, tym mniéj widać. Więc też i gacek, im mniéj może widzieć, tym mu téż potrzeba lepiéj słyszeć.

Otóż dlatego mają gacki tak wielkie uszy, aby nie mogąc widzieć, tym lepiéj słyszały. I w tym mamy dowód mądrości Boga, że nie wszystkie gacki latają o tymsamym czasie, lecz jedne wcześniéj, drugie późniéj, bo téż nie wszystkie owady nocne latają o tymsamym czasie, ale jedne wcześniéj, drugie późniéj. Niektóre gacki latają już przed zachodem słońca, i dosyć wysoko; inne o zmierzchu i przed wschodem słońca, jeszcze inne koło północy; niektóre latają niziutko ponad ziemią, inne blisko wód i ponad nimi, znowu inne między drzewami i koło ich wierzchołków, jedne bliżéj mieszkań ludzkich i koło nich, inne koło lasów i zarośli. Gdziekolwiek więc i kiedykolwiek latać zwykły o zmierzchu i w nocy owady szkodliwe, tam i wtedy latają także niedoperze i sprzątają je. Ażeby zaś zbyt silny dźwięk jaki, np. głos dzwonu, wystrzał lub inny podobny, nie sprawiał niedoperzom boleści albo ich zgoła nie ogłuszył, dlatego mogą one ucho nietylko za siebie, przed siebie lub na bok zgiąć, ale nawet płatkiem odstającym od niego czyli osobną błoną zasłonić i zatkać.

Niektóre niedoperze mają na nosie narośl z błony, jak to

widać u niedoperza, zwanego **podkowcem wielkim**; nozdrze zaś jest zwykle wielkie i mocno rozwarte, które jednak w razie potrzeby mogą zawrzeć. Jest więc rzeczą pewną, że te zwierzątka mają węch bardzo dobry i że takowy do łowienia owadów jest im zarówno pomocny, jak bystry słuch i czułe błony. Niedoperze kierują się zatym w locie wśród nocy głównie czuciem, słuchem i węchem. Żeby zaś tym pewniéj i zręczniéj mogły łapać owady, mają one szerokie pyszczki.

Każdemu dobrze wiadomo, że lis, wilk, kot nie takie ma zęby, jak zając, wiewiórka, koza, owca, wół, krowa lub koń. Dlaczego to tak jest? dlaczego nie wszystkie zwierzęta jednakowe mają zęby, czyli jak to mówią, jednakowe uzębienie? Zęby służą do gryzienia, do żucia, do rozdrabniania pokarmu. Więc według rozmaitości pokarmu, jakim się zwierzęta żywią, mają one téż rozmaicie urządzone zęby i nie w jednakiéj liczbie. I rzeczywiście krowa, wół, koń, zając, wiewiórka i tym podobne zwierzęta nie żywią się mięsem, lecz trawą, sianem, słomą, owsem, a więc pokarmem roślinnym, i dlatego mają one zęby trzonowe o koronie płaskiéj. Kot zasię, wilk, lis i tym podobne zwierzęta nie jedzą słomy, siana, trawy, owsa, lecz żywią się mięsem, więc zęby ich inaczéj są urządzone, aniżeli u krowy, konia lub zająca. Z zębów można zatym poznać, czym się zwierzęta żywią; od tego zaś, czym się to lub owo zwierzę żywi, zależy najczęściéj jego pożyteczność lub szkodliwość.

Jakież tedy zęby mają niedoperze żyjące u nas? Otóż mają one z przodu tak zwane siekacze, potym kły, wreszcie zęby trzonowe, przednie o jednym, tylne o kilku ostrych końcach, a razem 32 do 38. Takie zęby nie mogą służyć do gryzienia i żucia pokarmu roślinnego, lecz jedynie pożywienia zwierzęcego. Tak téż jest rzeczywiście; niedoperze żywią się tylko chrząszczami, ćmami, muchami, słowem wszelakimi owadami, latającymi o zmroku i w nocy.

Niedoperze żyjące u nas są zwierzątka dosyć małe, bo chociaż z rozpiętymi skrzydłami są 16 do 28 cm. szerokie, przecież tułów u niektórych ma tylko 3 $^1/_2$, a u jednego nawet, zwanego **karlikiem**, tylko 3 cm. długości. Te niedoperze na-

leżą więc do najmniejszych zwierząt ssących. Gdyby tedy ilość pożywienia u nich była zastósowaną do ich wielkości, nie wieleby one zjadły owadów i nie wielki przynosiłyby pożytek. Wszakże rzecz ma się inaczéj. Chociaż niedoperze są zwierzątka małe, strawią one jednak bardzo wiele i wiele téż jedzą. Tak np. zjé niedoperz nieco większy odrazu dwanaście chrabąszczów, które razem ważą niemal tyle, co on sam nienajedzony; mniejszy niedoperz zjé kopę much, a jeszcze nie będzie syty i po chwili znowu będzie jadł. A muszą te zwierzątka dużo naraz jeść, bo siedząc cały dzień w ukryciu, nie mając po co latać w słotę, a śpiąc całą zimę, nie wytrzymałyby, gdyby mało jadły naraz, Przekonano się także, że niedoperze nie zjadają skrzydeł, pokryw i nóg większych chrząszczów, ani skrzydeł ciem, lecz same tylko tułowie. Przeto zdołają one daleko więcéj zjeść i strawić, niż gdyby zjadały zarazem tak twarde i suche części owadów, jakimi są właśnie skrzydła, nogi i pokrywy. Jakoż między drzewami, niemniéj na chodnikach i drogach obsadzonych drzewiną, kędy latają niedoperze, zrana po ciepłéj nocy nieraz można widzieć niemało skrzydeł z ciem lub innych owadów zjedzonych w nocy od niedoperzów.

Najwięcéj rozmaitego robactwa lata z wieczora i w nocy w pobliżu mieszkań ludzkich, stajen i stodół, miedzy drzewami koło zabudowań i w sadach, po brzegach lasów i nad drogami leśnymi, tudzież w pobliżu wód stojących i płynących lub nad nimi, a daleko mniéj w szczerym polu. Więc téż i niedoperze latają najwięcéj koło domów i budynków gospodarskich, w sadach, między drzewami koło domów i dróg, słowem tam, gdzie latają owady. Każdy zatym rozumny gospodarz powinien się cieszyć, widząc latające koło domu lub po sadzie niedoperze, bo one wybierają skrzętnie wszystkie owady, które się w dzień dobrze ukrywają, które rozmnożywszy się człowiekowi dotkliwe wyrządzałyby szkody, a którychby on w żaden sposób nie zdołał wytępić.

Można się téż z łatwością przekonać, że niedoperze zwykle nie latają daleko, ale każdy z nich oblatuje bezustannie niewielką przestrzeń. Jest to bardzo dobrze, bo latając bezustannie na małéj przestrzeni przez kilka godzin i tam i sam, wyławiają

one właśnie tym sposobem wszelkie owady latające w téjsaméj okolicy.

Przy tym wyławianiu owadów są niedoperze bardzo dowcipne. Spostrzeżono, iż niedopérz polujący między lipami za owadami nie tykał ćmy samicy, bo uważał, że się do niéj zlatują ćmy samczyki. Te więc pozjadał on naprzód.

Żeby się tym lepiéj przekonać, jak wielką przysługę oddawają gacki człowiekowi przez wytępianie szkodliwych owadów, opowiem jedno zdarzenie. W Niemczech w okolicy miasta Hanau ścięto raz w zimie kilka tysięcy dębów. Między tymi drzewami były niektóre wybutwiałe. W tych dziurach pochowało się na zimę bardzo wiele niedoperzów. Przy ścinaniu tych dębów atoli bardzo wiele tych zwierzątek wcale niepotrzebnie i przez głupotę zabito, a reszta na śniegu, mrozie i wilgoci téż zmarniała. Było to wielkie głupstwo, bo skoro rębacze znaleźli w drzewach śpiące niedoperze, było je trzeba kupkami, tak jak spały, ostrożnie pozbierać do kosza i zanieść gdzie do stajni, na szopę lub na strych i nie dać im marnie zginąć. Wnet téż okazały się skutki téj głupoty, bo otóż zaraz w następujących latach okazała się niezmierna ilość gąsienic, z których powstaje ćma, zwana **barczatką**. Gąsienice te na kilka mil wokoło obżarły ze szczętem nietylko wszystkie dęby, ale inne drzewa, a między nimi i owocowe po sadach. Dopóki były niedoperze, nie było tych gąsienic, bo niedoperze zjadały pilnie ćmy, z których jajek zniesionych w wielkiéj ilości w jesieni, wyłażą na wiosnę gąsienice. Skoro nie było niedoperzów, namnożyło się wnet ciem i gąsienic szkodliwych, co nie miara.

Na zimę kryją się niedoperze po pustych drzewach, po dziurach w starych murach, między skałami, po strychach, jaskiniach, w suchych i ciepłych dołach, w piwnicach i tym podobnych miejscach. Zawinąwszy się w błonę lotną, jakby w płaszcz, zawieszają się one tylnymi nóżkami, głową na dół, kupkami razem, aby im było cieplej, i tak przesypiają po większéj części bez przerwy całą zimę w otrętwieniu, nic wcale nie jedząc. Jest to dowodem wielkiéj mądrości Boga. Jak już wiemy, niedoperze żywią się tylko owadami. Wszelakoż w zimie owadów nie ma; niedoperze nie znalazłyby przeto żadnego pożywienia i wyginęłyby wszyst-

kie z głodu. Otóż Pan Bóg temu zaradził w ten sposób, że niedoperze całą zimę przesypiają w otrętwieniu.

Do zimowania wyszukują one sobie miejsca suche i ciepłe. Kryją się one niekiedy i na strychy poza kominy albo też do kominów nieopalanych a z wierzchu nakrytych. Stąd urosła bajka, że niedoperze zjadają szperkę na strychach lub w kominach. Jest to wierutny fałsz. Przekonano się bowiem, że niedoperz prędzej z głodu zginie, nimby się tknął szperki lub jakiegobądź innego mięsiwa wędzonego. Nie gacki objadają słoninę lub inne mięsiwa po strychach, lecz myszy, a w kominie dymiącym, jakby nie mógł siedzieć człowiek, taksamo nie polezie tam niedoperz, ani żadne inne zwierzę.

Inną bajką jest to, że niedoperze wlatują do włosów. Jest to tak śmieszne i wierutne kłamstwo, jak ono o zjadaniu szperki w kominach lub na strychach. Nikt nigdzie nie przytoczy ani jednego dowodu, że to rzetelna prawda. A dziewki niechaj baczą, aby nie miały co innego w nieporządnych włosach; niedoperza nie ma się o to wcale bać, ani obmawiać go. Prędzej mogłoby się zdarzyć, żeby niedoperz za owadem jakim przez otwarte okno wleciał do izby. I tutaj nie ma się go co bać i nie należy go bić albo zabijać, bo jak wleciał, tak też i wyleci, byleby go nie płoszono, a chociażby i nie trafił natychmiast do okna lub drzwi i przez noc pozostał w izbie, to nikomu nic nie zrobi, a zrana można go wynieść. Wszak niektóre niedoperze można nawet obłaskawić; wtedy biorą one pożywienie z ręki, liżą ją, jak piesek. Atoli w niewoli nie żyją one długo, bo im brak świeżego powietrza, ruchu i stosownego pożywienia.

Jeszcze większym błazeństwem jest to, że gdyby mysz zjadła świecę w kościele, wtedy zamienia się ona w niedoperza. Trzeba nie mieć najmniejszego wyobrażenia o świecie Bożym, aby gadać coś tak głupiego albo w to wierzyć. Kto kiedy słyszał, aby jakiekolwiek zwierzę ssące zamieniło się w całkiem inne? Wszak nietoperze nietylko wcześniej były na ziemi, niż kościoły i świece, ale nawet prędzej, aniżeli ludzie. Z czegoż one więc wtedy powstawały? Przecież nie z myszy, co jadły świece? Zresztą jeżeli niedoperz nie tknie się szperki, to tym mniej będzie jadł świece, mianowicie woskowe. Nie trudno domyśleć się, ktoto

zjadł one świece w kościele, a potym spędził na niedoperza.

W krajach gorących, gdzie daleko więcéj owadów, niż u nas, jest także niedoperzów więcéj. Takim krajem gorącym są np. Indyje. Jest tam też bardzo wiele owadów szkodliwych, bardzo uprzykrzonych i nawet jadowitych. Za to jest tam daleko więcéj niedoperzów, aniżeli u nas. Mieszkańcy tameczni znają dobrze wielką użyteczność tych zwierząt i nie pozwalają wyrządzać im krzywdy.

I o tym wiedzieć należy, że niedoperze nie bardzo się mnożą, bo tylko raz w roku ma niedoperzyca jedno lub dwa młode a w zimie ginie ich u nas wiele od mrozu i wilgoci. Wreszcie łapie je także sowa zwana **syczkiem** czyli **leśniaczką**, tudzież sokół zwany **kobcem** czyli **kobuzem**. Więc ze względu na to i na wielkie pożytki, które te zwierzętka oddawają człowiekowi, chociaż ten niestety najczęściéj o tym sam nie wie, co komu zawdzięcza, nie należy ich bić, kaleczyć lub zabijać, albo gdy je kto znajdzie śpiące, wypłaszać i wyrzucać, jak to nieraz czynią chłopczyska rozpustne, dzwonnicy i kościelni na wieżach i strychach kościelnych; owszem powinno się im dać wszędzie spokój, bo raz z miejsca jakiego wypłoszone albo niepokojone w nim, opuszczają je na zawsze albo przynajmniéj na długi czas.

W naszym kraju żyje, o ile dotąd wiadomo, dwanaście rozmaitych gatunków niedoperzów. D. c. n

---

Z ŻYCIA ZWIERZĄT.

I. Pies feldmarszałka Langa. Kapitan R. Temple, rodem z Galicyi, mieszkający obecnie w Peszcie, w czasie służby swojéj dostał się 1854 r. do Belehradu w Siedmiogrodzie. Pod szczepem winnym znalazł on tutaj płytę marmurową, a na niéj następujący napis wierszem niemieckim ułożony: *Wiernemu psu, który przez szesnaście lat był moim nieodłącznym towarzyszem, który ze mną dzielił radość i niebezpieczeństwa, a raz życie mi ocalił, jemu z pełnym wdzięczności żalem serca teraz ku pamiątce ten kamień kładę, ażeby jeszcze dalekiéj potomności głosił, jak się ceni wierność nawet w zwierzęciu. Spoczywaj spokojnie, wierne zwierzę, zostaniesz mi zawsze pamiętnym. Belehrad, dnia 9. lutego 1840. F. E. L.* Dopytując się o bliższe pomnika tego wyjaśnienie, dowiedział się Temple, że tam pochowano pinczerka feldmarszałka-lieutenanta Langa, któremu pies ten raz życie ocalił. Otóż znużony oficer zasnął raz tak mocno, że wraz z domem, w którym się znajdował i który się tymczasem zajął,

byłby niezawodnie zgorzał, gdyby czuwający przy nim pies, nie mogąc go zbudzić szczekaniem, nie był wreszcie skoczył na łóżko i łapkami drapnął go po twarzy. A był to najwyższy czas, bo już imał się płomień drzwi i powały; jakoż oficer przebudzony i przerażony wraz z psem oknem uciekać musiał.

2. Pies Dereszniaka. Polacy ruszając na wojnę, zwłaszcza przeciw Tatarom, brali ze sobą zwykle i psy, które się im częstokroć dobrze przysłużały. Tak w r. 1617 **Piotr Dereszniak**, chorąży pancerny, puściwszy się za uciekającymi Tatarami, został niespodzianie przez kilku otoczony; rąbnął on jednego i drugiego tak dzielnie, że się obaj powalili, lecz trzeci olbrzymiéj postaci przypadł nagle na chorążego i mocnym targnięciem ściągnął go na ziemię, a przywaliwszy go sobą, niemiłosiernie dusił i już w łyka wiązał. Wtym skoczył pies Dereszniaka na Tatara i wbiwszy mu zęby w kark, trzymał go, aż chorąży powstawszy, związał bisurmanina, wsadził na konia i popędził do obozu. Za tę przysługę sprawił chorąży psu wybawcy swemu złotą obróżę.

3. Szympans Molli[1]. W ogrodzie zoologicznym w Hamburgu znajdowała się przez trzy lata małpa szympans (samica), zwana Molli. Szympans ten był podarunkiem dwóch kupców hamburskich, Wörmanna i Gödelta, posiadających w zachodniéj Afryce składy kupieckie. Już tutaj przebywała Molli dłuższy czas w towarzystwie ludzi; dostała się zatym do Europy już do pewnego stopnia wykształcona. Przybyła do Hamburga bardzo cierpiąca, jak się zdaje, skutkiem podróży morskiéj.

Znany przyrodnik niemiecki A. E. Brehm, przez czas jakiś dyrektor ogrodu zoologicznego w Hamburgu, podał w piśmie niemieckim «*Die Gartenlaube* (*1866. 230*) kilka szczegółów z życia téj małpy, które tutaj powtarzamy. Niedorzecznością byłoby, powiada Brehm, gdyby uczynki i figle tak wysoko stojącego zwierzęcia chciano przypisywać jedynie darowi naśladowania pozbawionego wszelkiego sądu, jak to tu i owdzie uczyniono. Prawda, że Molli naśladowała, lecz działo się to zupełnie tymsamym sposobem, jakim dziecko naśladuje dorosłych, to jest z zrozumieniem rzeczy i z rozsądkiem. Dała się pouczyć i uczyła się. Gdyby ręka jéj była się dała użyć jak ręka człowieka, byłaby naśladowała jeszcze całkiem coś innego, byłaby się całkiem czego innego uczyła. Robiła tyle, ile właśnie zdołała robić; wykonywała to, co wykonać mogła; ale cokolwiek czy-

---

[1]) W narzeczu niżu niemieckiego tyle, co Margosia.

niła, czyniła z świadomością, z niezaprzeczonym zastanowieniem. Rozumiała, co do niéj mówiono: i ją rozumiano, umiała bowiem mówić, wprawdzie nie słowy, lecz głosami i zgłoskami tak dobitnie wygłoszonymi, że nie można było nie zrozumieć, czego chciała. Znała siebie i otoczenie swoje, była świadomą swego położenia. W obcowaniu z ludźmi poddawała się wyższemu uzdolnieniu; w obcowaniu z zwierzętami okazywała podobne przeświadczenie o sobie jak człowiek; uważała siebie za coś lepszego i wyższego od innych zwierząt, zwłaszcza od innych małp. Rozróżniała osoby dorosłe od dzieci; pierwsze poważała, na drugie mało zważała. Miała pomysły dowcipne i pozwalała sobie żartów, a to nietylko z zwierzętami, ale też z ludźmi. Była nietylko ciekawą, lecz chciwą wiedzy; przedmiot, który ją zaciekawił, większą miał u niéj wartość, skoro się nauczyła używać go. Umiała wnioskować, z jednéj rzeczy sądzić o drugiéj, pewne doświadczenia trafnie zastosować do nowego położenia. Była podstępną, nawet przebiegłą, miała własną wolę, ale nie była upartą; żądała, co się jéj należało bez napierania się. Co do usposobienia miała ona swoje humory i muchy; jednego dnia była wesołą i ochoczą, drugiego smutną i zrzędną. Bawiła się w tym, nudziła w owym towarzystwie, znosiła i rozumiała żarty przyzwojte, — nie znosiła żartów niestosownych. Uczucia swoje wyrażała jak człowiek. Będąc wesołą, nie śmiała się wprawdzie, ale przynajmniéj się uśmiechała; smutek okazywała zupełnie tak jak człowiek; można było czytać to w jéj twarzy

Gdy jéj Brehm raz musiał odmówić przechadzki po ogrodzie, popadła w rozpacz; rzuciła się na ziemię, położyła się na wznak, wrzeszczała przeraźliwie, wykrzywiała twarz i włosy wyrywała.

Inne małpy i psy objawiają podobne uzdolnienie umysłowe, u szympansa każdy objaw umysłowości jest wybitniejszy, zrozumialszy i więcéj zbliżony do tego, co widzimy u ludzi.

Po tych ogólnych uwagach opisał Brehm jednę z przechadzek Margosi po zwierzyńcu.

Margosia siedzi sobie spokojnie w klatce, przypatruje ciekawie stojącéj przed klatką publiczności lub też zabawia się z znajomymi, gdy do niéj wstępuje Brehm, aby ją wziął na przechadzkę.

«Margosiu, pójdziemyż na przechadzkę»?

«O!» odpowiada Margosia z radością.

»Rzuć precz portmonetkę!»

Rzuca ją, włożywszy jednak poprzednio do niéj szeląg[1]), który trzymała między wargami dla dozorcy.

«Gdzie masz rękawiczki, Margosiu?»

Ogląda się i spostrzega, że rękawiczki, które jéj darowała pani N., wielka jéj przyjaciółka, są już potargane, że ich zatym nie można wdziać. Margosia miała bowiem niepiękny zwyczaj ogryzania palców u rękawiczek.

«Otwórz drzwi!»

To nie łatwa robota, gdyż drzwi zabezpieczone są od wszelkich usiłowań domyślnego mózgu małpiego w dosyć sztuczny zamek. Margosia atoli umiała sobie poradzić i dopóty w sposób właściwy obracała kluczem, aż drzwi otworzyła.

«Podaj mi rękę, Margosiu.»

Podaje.

«Nie tę, podaj mi drugą».

Margosia podaje drugą

«Chcesz biczyka?»

«O, o, o!» To znaczyło: Tak jest.

«Czy cię gniewają pawiany?»

«O, o!"

„Wybij je».

Margosia wchodzi na balaski, umieszczone przed klatką pawianów i smaga z jawnym zadowoleniem kuzynów swoich. Pawiany szaleją od złości, kłapią zębami, zacisnąwszy wargi, podskakują do góry, chwytają za biczyk, strzegą się atoli przed razami Margosi, albowiem wcale nie żartuje i dobrze daje poznać swoje półczłowieczeństwo.

Gdy się Margosia już dosyć nabiła pawianów, idziemy daléj.

Źle chodzić szympansowi trzymającemu się ręka w rękę z człowiekiem. Dlatego téż zaprasza Margosia pierwszego przechodnia podaniem mu ręki, aby pomógł prowadzić ją. Tak z dwóch stron trzymana kroczy dosyć szybko na tylnych nogach.

Gromadka chłopców staje w drodze, otaczając Margosię.

«Zrób sobie miejsce, Margosiu?»

Margosia chwyta za biczyk i w okamgnieniu utorowała sobie drogę pomiędzy chłopcami.

Kilka dziewcząt zastępuje także jéj drogę.

Margosia chce znowu użyć biczyka.

«Fe, Margosiu, toż to przecież dziewczęta!»

---

[1]) Srebniczek wartości 3·6 c. w. a.

Margosia rzuca natychmiast biczyk i podaje najśmielszéj rękę na dowód przyjaźni.

Przychodzimy nad staw.

«Przypatrz się kaczkom!».

Margosia przypatruje się kaczkom z miną przyrodnika. «Gęsiom także!». — Przypatruje się i gęsiom z uwagą. «A czarnemu łabędziowi!» I temu się przypatruje.

W pobliżu klatek z drapieżnymi zwierzętami okazywała niewymowną bojaźń i żadną namową nie dała się skłonić, aby się do nich przybliżyć więcéj, aniżeli uważała za stosowne. Przybywszy atoli do zagrody, w któréj się znajdowały lamy guanako, usiłowała wszelkimi sposoby rozgniewać te lękliwe i drażliwe zwierzęta, co się jéj zawsze udawało; drażniła psa, który zajadle ku niéj się rzuca, ale dla łańcucha nie może jéj dosięgnąć; wogóle straszyła słabsze zwierzęta. Jeżatek czubatych bała się, przekonawszy się raz, co to znaczą ich kolce.

«Mam przynieść kolec?»

Margosia garbi się, jak chłopiec, któremu grozi batog.

«Czyś zasłużyła sobie na wodę z cukrem?«

«O, o, o!»

Idziemy do kawiarni. Margosia siada na stołku i pięścią uderza w stół; podaną sobie szklankę wody z cukrem bierze w rękę i łyżeczką wygodnie pije. W końcu dodać muszę, że Margosia nie wyszła nigdy z kawiarni, nie dostawszy swojéj szklanki wody z cukrem.

Margosia padła ofiarą suchot w r. 1866.

Szkoda, że Brehm mimo oświadczenia, że o Margosi mógłby całą książkę napisać, nic więcéj o niéj nie napisał, będąc naocznym świadkiem jéj życia w Hamburgu.

Rozmaitości gospodarskie i weterynarskie.

I. Biedronka. Biedronka, mały chrząszcz, ma ciało półkuliste, a na czerwonych pokrywach skrzydeł czarne centki. Dotknięta ściąga nóżki i rożki i udaje nieżywą. Przytym wypływa jéj z każdego kolanka nóżek kropelka żółtawéj, ostréj cieczy szczególnéj woni, która ma pomagać na ból zębów. To ładne zwierzątko poluje na m s z y c e. Chcąc więc w rośliniarniach (oranżeryjach) rośliny ochronić przed tymi uciążliwymi pasożytami, trzeba na nie położyć gąsienice tego chrząszczyka.

I sam chrząszcz wyświadcza tęsamę usługę, ale nie jest tak żarłoczny, jak gąsienica. Jest ona barwy ciemnoszaréj z czarnymi i żółtawoczerwonymi garbami i ma sześć nóg.

Biedronkę lubią dzieci, i nikt nie czyni jéj nic złego, ale gąsienice niszczą nieświadomi ogrodnicy, gdzie ją znajdą, nie znając jéj użyteczności. Aby gąsienica zaraz po wykłuciu się z jajka miała co jeść, składa samiczka żółte jajka swoje na roślinach. W czasie przemiany gąsienica końcem ciała uczepia się liścia, głowę podwija pod siebie i przemienia się w poczwarkę. Po 10 dniach pęka skórka poczwarki na grzbiecie, a chrząszczyk wyłazi. U nas żyje na roślinach przeszło trzydzieści gatunków biedronek rozmaicie ubarwionych i nakreślonych.

2. Glista. Ciało glisty jest wałkowate i składa się z 180 pierścieni. Miejsce nóg zastępują jéj cztery rzędy cieniuchnych, krótkich szczeci. Między 29 a 36 pierścieniem pokazuje się w czasie parzenia ciemny pas. Glista żywi się miękkimi cząstkami zwiędłych roślin. Często wciąga ona liście wierzbowe do swoich dziur, z których końcami wystają, tak że się zdaje, jak gdyby kto na żart powtykał do ziemi listki wierzbowe. Gdy te liście zaczynają gnić w ziemi, są właśnie dla glisty dobre i wówczas zjada je. Przytym wciąga je głębiéj i zapewnia sobie tym sposobem pożywenie na przyszłość. W dni ciepłe rano i wieczór, jako téż w czasie deszczów wyłazi z ziemi. Przed wschodem słońca można je wyzbierać; ale trzeba cicho stąpać, glista bowiem spostrzega każdy szelest i ucieka do ziemi. Jéż, ryjówki, jaszczurki i żaby, a w ziemi krety wyręczają wybornie człowieka. Należy więc oszczędzać te zwierzęta. Glista żyje w miękkiéj ziemi i nie lubi ani suchego ciepła, ani téż ostrego mrozu; dlatego znachodzi się w gorące lato 60 cm. do 1 m., w zimie 2 do 3 m. głęboko w ziemi. Glista rozmnaża się znacznie zapomocą jaj, które składa w żołtobrunatnych bryłkach. Młode po wyjściu z jaja mają tylko 92 pierścienie. Narzędzi wzroku i słuchu nie odkryto u niéj dotychczas. Ma ciemnoczerwoną krew.

Każde stworzenie na ziemi bożéj ma swoje przeznaczenie, a jeżeli to służy człowiekowi, przynosi pożytek. Człowiek winien dociekać tego przeznaczenia i pożytku tego pilnymi badaniami. Glisty zjadają w wierzchnich pokładach ziemi miększe części zwiędłych roślin, a cząstki drzewne włókniste wciągają w głąb. Przez to rozpulchniają ziemię w różnych kierunkach. W dziury przez nie poczynione wciska się powietrze i woda, Oboje są nieodzownie potrzebne do życia roślinnego. Jeżeli się

pole posypie wapnem, gipsem, marglem lub popiołem, glisty wciągają to wszystko dalej w głąb.

Zauważono, że na polu posypywanym marglem utworzył się 30 cm. gruby pokład ziemi urodzajnej skutkiem pracy glist. Tego niejeden nie wie. Ale kto o tym wie, niechaj to rozważy i postara się, aby i inni wiedzieli.

2. Bielinek kapustnik (*Pieris brassicae*), u nas bardzo powszechny motyl, dostał się 1859 czy 1860 r. z Europy do Quebeck (w półn. Ameryce). Tak się mu tam upodobało, że na 9 do 10 mil naokoło miasta w wielkiej pojawia się liczbie, dając się we znaki kapuście. R. 1867 schwycono pierwsze okazy w Montrealu (30 mil geogr. na południowy zachód od Quebeck), a r. 1868 latał już licznie po ulicach miasta i na zachód aż po Chateauguay. Aby zapobiec szkodom wyrządzanym przez jego gąsienice, zamierzono nad ptakami, żywiącymi się owadami, rozciągnąć większą opiekę i sprowadzić zarazem owadziarkę, zwaną **baryłkarzem żółtonogim** (Microgaster glomeratus). Dla mniej świadomych rzeczy namieniamy,' że samica rzeczonej owadziarki składa liczne jajeczka w gąsienice kapustnika. Ponakłówane gąsienice nie giną, lecz żerają dalej, rosną i linią się. Gąsieniczki baryłkarza legnące się w gąsienicach kapustnika żywią się tychże tłuszczem, wreszcie wydobywają się na wierzch i zamieniają w poczwarkę w żółtawym oprzędzie kształtu baryłeczkowatego na gąsienicy kapustnika lub pod nią, która wtedy ginie. Kupki takich poczwarek wraz z skórą gąsienicy kapustnika widać w lecie po parkanach i drzewach lub ścianach domów w pobliżu ogrodów.

4. Ile warte gniazdo ptasze? Jedno z ludowych czasopism niemieckich ogłosiło list gospodarza wiejskiego do spółziemian następującej osnowy: «Kochany ziemianinie! Chłopak twój wybrał gniazdo ptasze, mniejsza o to: wróbla, zięby czy sikorki, równie jak mniejsza, czy wybrał je z młodymi, czy z jajami tylko, dość że pięć młodych ptaszków pozbawił swobody. Każde z tych młodych zjada codziennie w przecięciu około 50 gąsienic i robaków lub owadów najrozmaitszych, a ponieważ 30 mniej więcej dni potrzeba, ażeby porosło w pierze, wytępia przeto w tym czasie około 1,500 sztuk różnych szkodników. Pięcioro zatym ptasząt wybranego gniazdka potrzebowałoby było do czasu porośnięcia w pierze 1.500×5 czyli 7.500 sztuk gąsienic i robaków. Wiadomo, że gąsienica pożera codziennie tyle ciał roślinnych, liścia lub kwiatu, ile sama zaważy. Przypuściwszy, że przez 30

dni niszczy po jednym tylko kwiatku codziennie, okaże się, że 7.500 sztuk tych żarłoków do miesiąca pochłania 225.000 kwiatów owocowych. Otóż tedy, kochany ziemianinie! gdyby twój chłopak nie był wybrał gniazda i pozostawił w nim pięcioro młodych ptasząt, to byłbyś zebrał z sadu o 225.000 jabłek, gruszek lub śliwek więcej niż zbierzesz, a z tego przekonać się możesz, ile warte gniazdo ptasze».

SPRAWY TOWARZYSTWA.

I. Towarzystwo liczy (po dzień 28 stycznia b. r.) w Krakowie członków 169, w innych miejscowościach 67, razem 236.

II. Publiczne podziękowanie składa Wydział Krakowskiego Stowarzyszenia ochrony zwierząt delegatom tarnowskiemu i myślenickiemu za gorliwe i energiczne popieranie i rozszerzanie celów towarzystwa ochrony zwierząt. Obaj jakkolwiek zajęci obowiązkami szkolnymi i innymi zatrudnieniami, mimo to bez wytchnienia oddają ostatnie wolne chwile poza szkołą dla dobra publicznego, a przedewszystkim dla dobra ludu naszego. Oświata niższych warstw społeczeństwa naszego, przedewszystkim kmiotka, leży im na sercu. A wszak do podniesienia jéj dążą towarzystwa ochrony zwierząt. Pojęli to dobrze nasi Szanowni Delegaci i mamy nadzieję, że niezadługo powitamy pierwsze filije naszego Towarzystwa w Tarnowie i Myślenicach.

Delegat tarnowski dla tym skuteczniejszego działania wydał do mieszkańców m. Tarnowa odezwę treści następującéj:

Krakowskie Stowarzyszenie ochrony zwierząt podaje do publicznéj wiadomości, że według rozporz. min. z 15 lut. 1855 (Dz. u. p. nr. 31), obowiązującego we wszystkich krajach koronnych, każdy, co na miejscach publicznych dręczy zwierzęta w sposób obrażający uczucie ludzkie, bez względu na to, czy one są jego własnością lub nie, winien być przez władzę polityczną, a gdzie istnieje władza policyjna, przez tęże według § 11. ces. rozp. z 20 kwietnia 1854 (Dz. u. p. nr. 96) karą pieniężną od 1 do 100 złr. lub aresztem od 6 godzin do 14 dni karany. Mimo téj ustawy, biorącéj świat zwierzęcy w obronę, można być w mieście naszym, przedewszystkim na jego przedmieściach, niemal codziennie świadkiem najbrutalniejszego obchodzenia się publicznie z wielu zwierzętami, a szczególnie z końmi. Dążności humanitarne Stowarzyszenia ochrony zwierząt rozgałęziającego się po całym kraju,[1] wtedy tylko zdołają, osiągnąć skutek i ulżyć smutnéj doli wielu zwierząt, jeżeli do niego przystąpi jak największa ilość ludzi, jeżeli cała Publiczność szlachetne cele jego wspierać zechce.

Imieniem tedy Stowarzyszenia tego odzywam się do Szanownych Obywateli i mieszkańców m Tarnowa, jakoteż oko-

licy jego, aby nie puszczali płazem gdziekolwiek dostrzeżonego, dręczenia koni lub jakiegokolwiek innego przekroczenia w tym kierunku, aby dręczycieli zwierząt napominali i surowo karcili a w razie potrzeby do pomocy Władzy policyjnéj się udawali. Aby zaś skutecznie działać, potrzeba i u nas utworzyć filiją tego Stowarzyszenia, potrzeba przystąpić do niego i gromadnie i z szczerymi chęciami a położyć można tamę żnęcaniu się nad biednym zwierzęciem bezbronnym i opuszczonym, którego katowanie i męczenie jest hańbą społeczeństwa ucywilizowanego.

Wiem, że znajdzie się wielu ludzi w Tarnowie, którzy odczuwają potrzebę takiego Stowarzyszenia, którzy zagrzani dobrymi chęciami i pięknym celem do Stowarzyszenia ochrony zwierząt przystąpią; upraszam przeto wszystkich tych P. T., których los biednych zwierząt obchodzi, aby się do podpisanego zgłosić i do rychłego zawiązania filii Krak. Stow. ochr. zw. u nas przyczynić raczyli.

Wkładka roczna wynosi 1 złr. 50 ct. w a (dla nauczycieli 1 złr.), za które członkowie otrzymywać będą wydawane przez towarzystwo czasopismo p. t. „Opiekun zwierząt“ i różne inne pisma nakładem Stowarzyszenia wychodzące. Karty przyjęcia do towarzystwa i pokwitowania wydaje na razie podpisany.

W Tarnowie, dnia 9 stycznia 1888.

Prof. Zygmunt Morawski,
Delegat Krak. Stow. ochr. zw.

Powyższą odezwę rozlepiono w licznych egzemplarzach po rogach ulic m. Tarnowa i jego przedmieść, jakotéż rozrzucono po znaczniejszych sklepach i restauracyjach, wreszcie rozesłano do ważniejszych miejscowości, jak Wojnicza, Dąbrowy i t. d.

Staraniem zaś delegata myślenickiego, prof. Stan. Bernardego, przy spółudziale kilku szlachetnych mężów, zawiązało się w Myślenicach towarzystwo pszczelniczo-ogrodnicze. Życzymy mu jak najlepszego powodzenia. Sekretarzem jego jest p. St. Bernardy. Z powodu przeróżnych dręczeń zwierząt w czasie jarmarków, na które, choćby były najokrutniejsze, organa policyjne prawie wcale nie zwracają uwagi podczas swéj służby przy sprzedaży bydła lub drobiu, wniósł tenże delegat w imieniu Stowarzyszenia odezwę (4. XI 1887) do c. k. Starostwa i zwierzchności gminnéj m. Myślenic, którą przytaczamy:

W każdy jarmark zdarza się widzieć najrozmaitrze sposoby dręczenia zwierząt, t j. bydła rogatego, koni, trzody chlewnéj i drobiu, z których najważniejsze przytaczam.

Przechodząc po targowicy, można być świadkiem, jak krowy przyprowadzone na sprzedaż, same z siebie wydzielają mle-

ko, które przedający dla oszukania kupiciela przez kilka dni pozostawiają niewydojone Fakt ten z dwóch względów jest oburzający. Raz dlatego, że przedawca stara się tym sposobem oszukać kupiciela, powtóre, że bydlę w ten sposób dręczone jest nielitościwie. Bardzo też często można widzieć, jak wychudłe, nędzne koniska ciągną z wytężeniem ostatnich sił przeładowane deskami lub innymi materyjałami wozy, okładane do tego biczyskiem w sposób katowski. Taksamo ma się rzecz z cielętami na targu, przeznaczonymi na rzeź, jak srodze i bez miłosierdzia bywają dręczone przez rzucanie nimi na wóz z powiązanymi razem nogami, grzbietem na spód, jedno na drugie, a częstokroć w tensam sposób z wozu na ziemię, które podczas tego beczą żałośliwie. Również i nierogacizna w nieludzki sposób bywa dręczoną, a nie ma ani jednego wypadku, gdzieby inaczéj była na targ prowadzoną, jak za tylną nogę, około której owiązany powróz do kości się wrzyna i okrutnie rani nogę.

Co się tyczy dręczenia drobiu, to dla braku miejsca nie chcę przytaczać faktów, wystarczy przypatrzyć się tylko na targu, a można mieć wyobrażenie o sposobie dręczenia tych biednych istót. **Szkoda, że nie mogą wydawać jęków bolesnych, bo może tym sposobem pobudziłyby niejedno zakamieniałe serce do litości.** Dzisiaj już nasz lud wiejski do tego dręczenia tak nawykł, że nie potrafi odczuć téj boleści, jaką zadaje niewinnym stworzeniom. Któż jest, kto może położyć tamę téj srogiéj tyranii? — Wszak mamy ustawy, które surowo zakazują srogiego obchodzenia się ze zwierzętami i wysokie grzywny nakładają na dręczycieli. Niestety ustawy te, pożal się Boże, są tylko na papierze, a o ich przestrzeganie nikt się nie troszczy, Mówię to z własnego przekonania, gdyż na własne oczy widzę, jak organa c. k. żandarmeryi i władzy gminnéj obojętnym okiem spoglądają na wszelkie rodzaje dręczenia zwierząt, a nie ma ani jednego wypadku karania winnych. A ileż to można widzieć samotrzasków, sideł i t. p. pozastawianych po drzewach, która to czynność stała się prawie rzemiosłem starszéj i młodszéj generacyi. I możnasz się nie dziwić, gdzie się podziały spiewaki przyrody i dlaczego nasze sady nie przynoszą spodziewanych owoców? Świetna Zwierzchności! pomny słów: «**Kto nie ma miłości nad zwierzęciem, nie ma jéj także nad człowiekiem i naodwrót, ten tylko okaże spółczucie dla bliźniego, kto je ma dla zwierzęcia**», upraszam jako delegat Krak. Stow. ochr. zw. dla tutejszego powiatu o łaskawą opiekę nad zwierzętami i porucze-

nie organom, aby zapobiegały wyżéj rzeczonym nadużyciom, oraz o łaskawe uwiadomienie mnie o skutku méj prośby celem złożenia sprawozdania Wydziałowi Stow. ochr. zwierząt w Krakowie.

III. Odezwą z 13. XI. 1887. L. 219, wniesioną do Prześwietnego Prezydyjum Magistratu m. Krakowa, upraszało Krak. Stowarzyszenie o wydanie odpowiednich zarządzeń celem zapobieżenia dręczeniu koni przy wszelkich budowach w mieście Krakowie (ob. Opiekun zwierząt, 1887 str. 125). Odezwę tę odstąpił Magistrat tutejszéj c. k. Dyrekcyi Policyi, jak nas o tym Magistrat zawiadamia pismem z 13. grudnia 1887 L. 22759.

W sprawie targowicy końskiéj, poruszonéj przez towarzystwo odezwą z 23. X. 1887 L. 210 (ob. Opiekun zwierząt, 1887, str. 124) odpowiedział Magistrat pismem z 11. stycznia b. r. L. 21080/87, jak następuje:

Na podanie Szanownego Towarzystwa z dnia 23. października 1887 r. L. 210, w którym podniesiono nieporządki na targowicy końskiéj na Groblach i dręczenie koni tamże, mam zaszczyt oznajmić:

1) że przeniesienie targowicy z placu na Groblach na inne miejsce będzie mogło nastąpić dopiero wówczas, gdy Rada miejska uchwali organizacyją targowisk w mieście. Sprawa ta jest w toku;

2) ustawienie na targowicy końskiéj baryjer z pierścieniami i wytyczenie alei dla ujeżdżania koni uskuteczni się wtenczas, gdy będzie urządzone stale targowisko końskie;

3) że żądaniu dodania do instrukcyi dla rewizora koni postanowienia, według którego rewizor koni miałby moc nie wpuszczać na targowicę koni niedołężnych, słabych, pokaleczonych, kulawych i ślepych, zadość stać się nie może, bo według obowiązujących przepisów wykluczyć z targowicy można tylko konie zaraźliwe chore. Konie niedołężne, słabe, pokaleczone, kulawe i ślepe są także przedmiotem obrotu handlowego, a ograniczenie tego obrotu po myśli żądania. Szanownego Stowarzyszenia nie leży w mocy Magistratu;

4) że wreszcie na targowicy jest dostateczny dozór lekarski i policyjny; na każdym bowiem targu jest rewizor koni, straż targowa i straż policyjna, które ściśle przestrzegać mają wykonania przepisów obowiązujących, nad czym ich władze przełożone należycie czuwają.

Co do punktu 4 musimy z żalem zwrócić uwagę Świetnego Magistratu, że tak nie jest, jak powiada czwarty ustęp powyższéj odezwy. Nadzór na targowicy końskiéj jest niedostateczny. Nie dosyć bowiem jest stać na placu targowicy końskiéj i przypatrywać się z zamrużonymi oczyma temu, co się pod względem obchodzenia z końmi naokoło dzieje i słuchać z zatkanymi uszami, jak razy — już nie batogami, ani biczyskami — lecz nahajkami,

przypominającymi czasy tatarskie, i kijami spadają na grzbiety niedołężnych i zmaltretowanych koni wśród wrzasków handlarzy wszelakiego rodzaju, popędzających je jużto do jazdy wierzchem, jużtéż do pociągu. Gdyby nadzór był energiczny i czynny, nie byłoby tyle przypadków dręczeń koni. Tymczasem według opowiadań mieszkańców z Podzamcza i przyległych ulic odbywają się na targowicy co wtorek brutalne sceny z końmi. Przypominamy tylko Świetnemu Magistratowi przypadek okrutnego dręczenia konia przez żyda handlarza Abrahama Langnera, który zaszedł dnia 27. grudnia r. z., dokładnie opisany w kronice „Kurjera Krakowskiego“ z 30. grudnia z. r. (nr. 298). Takich lub podobnych dręczeń koni można być świadkiem co wtorek. Pożądanym jest, aby straż policyjna, targowa i rewizor koni tym okrucieństwom koni, ile możności, zapobiegali. Towarzystwo ochrony zwierząt nie może wszystkim tym nadużyciom stanowczo zapobiec, chociaż czyni co może, jeżeli go władze odpowiednie i cała inteligentna publiczność w tak humanitarnym celu należycie nie wesprą.

WPŁYW WIWISEKCYI.

Do jakich smutnych rezultatów doprowadzają wiwisekcyje, przytacza *Miesięcznik gal. towarzystwa ochrony zwierząt* w nrze 12 z r. 1887 na str. 182 następujące prawdziwe zdarzenie.

Pewien urzędnik niższy we Lwowie, ulegając życzeniom syna, wysłał go na studyja medyczne. Odejmując sobie literalnie kawałek chleba suchego od ust, znosząc najwyższy niedostatek z całą rodziną, zastawiając ostatni łaszek, brnąc w długi, utrzymywał syna przez pięć lat studyjów.

Po ukończonych studyjach po odbyciu egzaminów, których koszta ojca i całą rodzinę do szczętu zrujnowały, uzyskał wreszcie syn posadę lekarza. Przed objęciem téj posady zawiadomił rodziców, że ich odwiedzi we Lwowie tego lata. Matka z powodu niedostatków i zgryzot wpadła w ciężką chorobę i przebywała wówczas u krewnych na wsi. Przybył wreszcie tak upragniony dla serca macierzyńskiego syn i udał się z ojcem na wieś do matki. Radości nie było końca. Lecz cóż się dzieje? Matka nie mając o czym leczyć się i zasięgać rady lekarzy, z całą ufnością udaje się do syna z prośbą, by stan jéj zdrowia zbadał i co mógł poradził. Syn zbadawszy stan matki, rzekł stanowczo, że choroba jest zadawniona, życiu zagrażająca, iż dyjagnozy ściśle przeprowadzić nie może i że *dopiero sekcyja po śmierci wykaże, co mamie brakuje.* — Słowa wyrzeczone przez syna u łoża matki z zimną powagą męża nauki wprawiły ojca i matkę w stan otrętwienia i niemej rozpaczy.

Syn ten wychowany najtroskliwiéj pod okiem matki aż do złożenia matury, odznaczał się wielką moralnością i skrom-

nością. Teraz zaś chełpił się, że gdy dawniej bez przykrego uczucia patrzyć nie mógł na zarzynanie kury, wiwisekcyjami w czasie swych studyjów tak się znieczulił, że z najzimniejszą krwią rękami własnymi rozdziera króliki żywe jak kawał papieru!

„Bodajby przepadła taka nauka, która mi z syna zrobiła takiego rzeźnika“, powtarza dziś złamany na duchu ojciec[1]).

Członkowie krak. Stowarzyszenia ochrony zwierząt.

Od 2. stycznia do 28. stycznia 1888.

a) **w Krakowie:**

JOśw. Ks. Sanguszko Helena. — **JWna Hrabianka Szymanowska Jadwiga**. — **Wna Seferowiczowa** Bronisława, żona Dyrektora kolei państw.

Wni: **Będzikiewicz** Sebastyjan. — Dr. **Buszek** Jan, fizyk miejski. — **Grabowski** Franciszek, naucz. pryw. — **Kamecki** Wawrzyniec, właśc. realn. — **Pawikowski** Rudolf, c. k. autoryz. geometra cyw. — **Urbański** Michał, kand. stanu naucz. — **Zarembski** Teofil, urz. tow. ubezp. — **Zakrzewski** Gustaw, obyw.

b) **w Tarnowie:**

Wni: **Przybylski** Józef, prof. gimn. — **Wójcik** Władysław, weterynarz powiatowy.

c) **w innych miejscowościach:**

Wni: Ks. **Harbut** Michał, prob., Przytkowice, p. Kalwaryja. — Ks. **Piotrowski** Walenty, prob., Mogilany. — **Krupa** Stanisław, naucz., Włosań, p. Mogilany. — **Rzeszódko** Wacław, naucz., Marcyporęba, p. Brzeźnica. — **Stypuła** Józef, naucz., Tarnawa, p. Sucha. — **Wiśniewski** Franciszek, naucz., Chocznia, p. Wadowice. — **Woźny** Wincenty, naucz., Kwaczała, p. Lipowiec. — **Wyrobisz** Adam, naucz., Osiek, p. Oświęcim. — **Zając** Franciszek, naucz., Wadowice.

d) **jako prenumeratorzy:**

Battaglia Roger, **Gumiński** Zdzisław, **Hanusz** Kaźmirz, **Hollaender** Izydor, **Mysór** Władysław, **Potok** Hieronim, **Prokopek** Jan, **Schmindling** Samuel uczniowie gimnazyjum tarnowskiego.

Polecamy Szanownym Członkom tow. broszurkę p. t. **„O naszém gospodarstwie rybném“**, skreśloną przez S. **Będzikiewicza**. Kraków. 1887. Cena 10 ct. Można ją dostać za pośrednictwem redakcyi Opiekuna zwierząt.

Redakcyją numeru zamknięto 28 stycznia 1888.

[1]) Czytaj „Djabła“, nr. 2. 1888.

Nakładem krak. Stow. ochr. zwierząt. — W drukarni A. Koziańskiego.